

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartał. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 3 Złr. m. k. Ryciny mąd kwartał. 1 Złr. 20 kr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza piśmie petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za na step. po 1 1/2 kr. i za dopłatę 10 kr. step. i za każdorazowe umieszczenie Biuro ekspedycji w księ garni H. W. Kallenbacha

UCZONY.

Obrazek fantastyczny,

przez

Jana Zachariasiewicza.

(Dokończenie.)

EPILOG.

*Wer den Dichter will verstehen
Muss in Dichters Lande gehen.*

Powieść nasza skończyła się. Wyszła się ona wprawdzie z samych obrazków idealnych, subtelnych i fantastycznych, ale właśnie z tych na pozór subtelnych obrazków wysnuło się następnie życie rzeczywiste osób tej powieści. Drobne te skazówki przyszłego ich kierunku podjął powieściarz, uwydatnił i przeprowadził je aż do rozwinięcia się zupełnego charakterów, co każdej powieści jest zadaniem. Skoro charaktery bowiem są już skryształowane, ustalone, przestają być przedmiotem powieści.

Jako latorośl młoda przyjmując wpływy powietrza i tego, co ją najbliższej otacza, wyrasta w drzewo wysokie, lub karłowacieje, tak też i w świecie duchowym fotografują się drobne na pozór zarysy wpływów zewnętrznych, i dają początek wielkim cnotom społecznym, lub brzydkim kalectwom moralnym.

Bohater nasz mógł po owej katastrofie dwojaką pójść drogą. Mógł się zupełnie złamać i pójść na zwykłe bezdroża, właściwe bankrotom moralnym: Mógł paść w rozpacz, stać się pijakiem, wyrzec swojej dawnej istoty, i zniżyć się do kalu brudów najpospolitszych. Stan ten chorobliwy bohatera jest jednak jeszcze walką uczuć, które nim miotają, on sam jest jeszcze pacjentem, a autor, lekarz moralny, niepowinien dotąd od niego odstąpić, dopokąd choroba jego się nieprzesili, i stan normalny nie nastąpi! Stan taki może być zawsze kalectwem, ale nie będzie już chorobą.

Inna droga, jaką mógł jeszcze pójść nasz bohater, właściwa jest charakterom płytkim i słabym. Mógł Robert ten epizod życia swego spokojnie zamknąć w rozdział, i dalej powieść życia kontynuować. Mógł się kochać gdzieindziej, być czułym i tkliwym, pisać elegie i arakreontyki i być, że tak powiemy, owym „jednodniówką”, którego serce i dusza zawsze do wrażeń rozwarła i gotowe, zawsze do

gry uczuciowej nastrojone, i na lada powiew brzmiały, jak arfa eolska. Mógł z równym zapalem uwielbiać błękitne oczy panny Amelii, jak przepadał za czarnym okiem Julii. Życie jego mogło się jak łódka przesliznąć przez ten wir katastrof i dalej lekko bujać po licach wód sinych.

Ale żadna z tych dróg nie poszedł nasz bohater. Jako charakter wielki i silny sięgał on głębi życia, a co w tej głębi napotkał, to chciał przebić lub usunąć. A wiele skał i opok podwodnych napotkał w żegludze swego żywota, bo wzrok od ziemi odwrócił, bo nie miał przed sobą karty życia rzeczywistego, i doświadczonych dróg świata.

Miłość ku Julii była dla niego białą szatą, w którą się ustroił, czystą i eteryczną jak światło słońca. Słowa jednak Kamili przypominały mu, że ta szata ma skazy i plamy. Uczuł zawstydzenie w obec Julii, że się śmiał odziać w białą szatę wybranych, a gdy po sobie spojrział, ujrzał błędy swego życia w barwie coraz czarniejszej, i zdawało mu się, że pod powierzchnią szatą białą ma szatę drugą, brudną i poszarpaną.

Uderzony taką sprzecznością w życiu swoim, począł walczyć z samym sobą, bo ujrzał w sobie dwie istoty. Nie mógł pojąć, jakim sposobem te dwie istoty mogły dotąd tworzyć jedno życie, jakim sposobem mógł kochać Julię, ową anielską, eteryczną miłością, niewidząc przy tem błędów życia swego... z drugiej strony nie pojmował, jakim sposobem mógł błądzić pod wpływem tak szlachetnego uczucia, jakim była jego miłość dla Julii?...

Na takie więc dwie istoty rozłożył siebie, walczył to z jedną to z drugą, trawił się w tej walce bezskutecznej, a nie mogąc je z osobna zwalczyć, zabił je obie. Był to konieczny wypływ głębszego jego charakteru.

Roześmiał się jak dziecko na widok potłuczonych cacek, śmiał się z swoich mrzonek fantastycznych, i z swojej miłości dla Julii, śmiał się z poetycznych barw życia swego, które mu teraz szerniały jak róż na pomarszczonych licach zalotnicy... Śmiał się z nieokreślonego jakiegoś uczucia przyjaźni dla zepsutej dziewczyny, którą chciał podnieść, a która za to obmotała go nicią nikczemnej intrygi. Słowem, śmiał się z całego życia swego, ze swoich cnót i błędów i wszystko wyszydził, prócz swojej nauki, którą mżolnie był pozbiierał.

Tym tylko sposobem mógł wyjść z owego „delirium” i żyć dalej, ale żyć... kaleką. Wyrzekłszy się raz wiary w

świat uczuciowy i w świat rzeczywisty, nienawidził dzieł serca, pogardzał światem żyjącym, a cały swój żywot wciśnął w tę małą ustron, jaką mu nadała jego mozolna książkowa nauka.

I z całym gorącym swej duszy rzucił się w katakomy wiedzy książkowej, żył z kamiennymi postaciami najodleglejszej naszej przeszłości, sam przy nich skamieniał, sam stał się glazem..

Zaraz w kilka dni po tej katastrofie wyjechał do Lwowa i nigdzie nie można się było więcej o niego dopytać. Przerwał zawód prawniczy i nigdy do niego nie powrócił. Przez trzy lata nikt o nim nie wiedział. Po trzech latach przybył do miasta. Był słaby, schorowany i nadzwyczaj błądy.

Unikał wszystkich dawnych znajomych, chował się po najciemniejszych kątach stolicy, a gdy i tam za jasno mu było, wyprowadził się pod roгатkę Łyczakowską i z zaciśniętymi murów cmentarnych patrzył się na świat społeczny.

Do miasta przychodził tylko raz na tydzień. Co piątek widziano go powracającego z grubą, starą siądką pod pachą. Zamiedbany i ubogi ubiór jego rozśmieszał przechodzących chłopców. Lecz „uczony” jak go powszechnie nazywano, nie uważał na śmiech żyjących, bo idąc ulicą rozmawiał w duchu z postaciami historii, a rozkoszując w towarzystwie umarłych, spoglądał z tęsknotą na zbliżający się mur cmentarza łyczakowskiego, do którego przypierała uboga jego izdebka.

Gniewał go świat żyjący, barwy życia były mu nieznosne. Przeszłość tylko widział wielką ale oraz niepowrotnie straconą; na jej gruzach roztrzaskał lutnię swoją.

Poezje swoje zniszczył, popalił, a gdy kiedy jaką próbkę lekkiej literatury do ręki dostał, darł ją i targał jako rzecz nieużyteczną, naganiając piszącego do studjów archeologicznych i badań historycznych z czasów przedchrześcijańskich.

I rozkoszował w bankructwie ducha swego dawny wychowaniec natury, i z wysokości wiedzy książkowej opowiadał z zimnym uśmiechem epizod życia swego, w którym serce jego pękło, jako romantyczny wybryk fantazji młodzieńczej.

— Ludzie serca, mawiał do kilku swoich znajomych, nie zdziałali nic dla historii, ani daleko nie zaszli. Życie serca chwilą, a im prędzej ona przemienie, tem lepiej jest dla człowieka. Serce zawadza człowiekowi na świecie, a przecie zawsze czyni go egoistą. Kto ma jaki cel wyższy przed sobą, ten serce zabić powinien.

A taki cel miał teraz przed sobą nasz bohater, i osiągnął go. Został uczonym. Ale nauka jego składała się z szmat i przegników, wydobytych mozolnie z katakomb wiedzy książkowej. Nie było w niej żadne tętno życia..

Lecz wypadaloby powieściarzowi i o innych osobach tej powieści wspomnieć. Żyją one dotąd wśród nas, a jedną z scen niedawnych, w których występowali nasi bohaterowie opowiem po krótko.

W jednej ze stolic ziem polskich zjechało się liczne obywatelstwo kraju. Natłok był wielki po domach zajezdnych. W kilku kołach radzono o miejscu powszechnego zebrania się. Chodziło tu o ważne i zbawienne dla kraju starozyszenie.

W jednym z tych mniejszych kółek prowadzono spór zacięty o wybór osoby, obok której mogłoby się ugrupować krajowe obywatelstwo. A spierano się zacięcie, bo każdy miał sąsiada lub znajomego, przyjaciela lub krewnego, którego przymioty widział w świetle jak najlepszym, i je pod niebo wynosił. Był to mały obrazek dawnego sejmku naszego, a o zgodę powszechną jakoś było trudno. Najwięcej z mowców wychodziło ze stanowiska prywaty, sądziło o ludziach z prywatnych stosunków, z prowadzenia domu, z kordjalnych dla sąsiedztwa uczuć, słowem, oceniano ludzi według tej samej miary, jaką niegdyś pretendentów tronu, poselstw i starostw mierzono. Wprawdzie znalazł się jeden i drugi co inaczej sądził, co myślał, że nie dosć jest braterskiego uścisku, lub kilka antałów wina aby między bracią wyższe zająć stanowisko, ale potrzeba charakteru, erudycji i życia, któreby odpowiadało wszystkim warunkom godności obywatelskiej.

— Prezesem obrady będzie pan Maciej, krzyczeli panowie od Beskid, bo jest wiekiem najstarszy, i mospanie, ma postawę potemu! Jak pięścią w stół huknie, to całe zgromadzenie w gębie gadatliwego języka zapomni!

— Wybierzmy jw. pana Konstantego, potomka tak znakomitych magnatów naszych!

— Co magnaty! co jw. pan Konstanty! wołali inni, albow on w kraju siedzi, albow wie o jego potrzebach! Za granicą traci pieniądz polski!

— Pan Mateusz jest najgodniejszy z obywateli pięciu okręgów. Skromny majątek dziedziczny przysporzył do dzieśiątka wsi, każdy arendarz zna o jego wybornej okowicie!

— To sknera, to żyd, szepnął ktoś półgłosem, nam potrzeba szlachetnego serca!

— Nauki, panowie, i serca, zawołał jakiś błądy, suchy jegomość, i życia czynnego w sprawie kraju!

— Pan Artur!

— To próżniak! siedzi we Lwowie, i obryzgiwa ludzi jeżdżąc w factonach.

— Pan Władysław!

— Bogaty pan, ale nie dla kraju nie zrobił. Rzucił pieniądze tam gdzie ich nie potrzeba, niema własnej woli, kieruje się zdaniem cudzem, najeźściej nieudolnym!

Tak i tem podobnie gwarzyli zgromadzeni: a tru-

dno było wynaleść imienia, któremby nie zarzucić niemożna było.

Wreszcie podniósł się jakiś sędziwy szlachcic i stanowczym głosem zawołał:

— Panowie, wadzimy się o imie, gdy nam o potrzebach kraju radzić należy. Wiele wymagano tutaj od tego imienia, i przyznam że bardzo słusznie. Trzeba być bowiem i posiadaczem, i dobrym gospodarzem, trzeba mieć więcej erudycyi, niżeli jaki taki hreczkosiej, i trzeba przede wszystkim służyć prawdziwym interesom kraju, i być przytem przykładnym, czynnym obywatelem. Panowie, ja znam takie imie: Kazimierz * * *!

Kilka chwil trwało milczenie, bo każdy czekał głosu opozycyi, ale nikt go nie podniósł. Po chwili ozwały się głosy:

— Prawda, prawda, pan Kazimierz * * * bardzo godny obywatel.

— Służy krajowi, pracuje dla niego, i w każdym razie broni jego dobra.

— Tak jest, służy krajowi, pracuje mozolnie głową, chociaż ma majątek milionowy, chociażby mógł z niego używać, i żyć wyłącznie dla wygódek ciała lub dumy, jak to czyni wielu jemu majątkiem równych!

— Przykładnie żyje, przykładnie dom prowadzi, przykładnie wychowuje dzieci!

Koniec końcem, bez miary było owych przykładów, a uradowane taką propozycją zgromadzenie, uściskało szlachcica górskiego, który tak genialnie ten spór zakończył.

Całe zgromadzenie udało się do domu Kazimierza.

W pierwszopiętrowym salonie, bez zbytku, lecz z gustem ustrojonym, siedziała bladej twarzy kobieta, i trzymała dziecię na ręku. Na jej ładnej twarzy, niegdyś hożej i okrągłej, wycisnęło się teraz znamie łagodnej, macierzyńskiej boleści. Była to twarz ziemskiej madony. Koło niej siedział piękny jasnowłosy młodzieniec i czytał z książki.

Kobieta przerwała mu:

— Juliuszu, korzystałeś już wiele z pobytu w tej stolicy?

— Wszędzie już byłem, mamó, odpowiedział młodzieniec, zwiedziłem różne znakomitości tutejszej wszechnicy, i po kilka godzin słuchałem ich odczytów.

— Jakże ci się podobały te wykłady wyższych nauk?

— Niektóre mamó, zachwyciły mnie, podrażniły moją dumę wiedzy i nauki, i ułożyłem nawet sobie, prosić Papę o pozwolenie słuchania kilku przedmiotów nadzwyczajnych!

— Mówisz, że ci się tylko *niektóre* wykłady podobały?

— Nie wszystkie mamó!

— A któreż to na przykład niepodobały się tobie?

— Profesor historii wcale mnie się niepodobał. Mnie inaczej historyi uczono.

— Profesor historii? Robert * * *?

— Tak jest, mamó. Ach gdybyś go mamó widziała, co to za karykatura chodząca, tobyś już pewnie nie słuchała tych głupstw, które tam gada!

— Może ty ich, Juliuszu, nierozumiesz?

— To na cóż mówi tak, że go nikt nie rozumie, bo już ciż żaden z uczniów nie jest starszym odemnie. Uczniowie podczas jego wykładu, rysują na ławkach karykatury z niego, i śmieją się z jego subtelných wiadomostek, bez żadnego wpływu na dzieje ludzkości, ze starych szpargałów wydobytych. Mówiono mi, że kilkakrotnie rozmachiwał się do zupełnego wykładu historii, ale kurs przeminął, a mądry profesor nigdy jeszcze nad wiek dwunasty nie wystąpił. Przez kilka miesięcy zastanawiał się nad epoką przedchrześcijańską Sławian, mówił kilka tygodni o Trakach i Dakach, a nazbierawszy po różnych kronikach i pisarzach starożytnych jakie sześćset kilkadziesiąt imion, niby narodów sławiańskich, potworzył z nich tyleż plemion, a chcąc każdemu należyte miejsce geograficznie naznaczyć, zaludnił Sławianami dwie części starego świata, od szczytu Etny aż do ostatniej kończyny brzegów Europy północnej, a wzdłuż rozciągnął ich od granic Francyi aż pod sam mur niebieskiego państwa. Później wyszperał gdzieś, że Karol Wielki miał dwie koszule tylko, które mu w darze przysłała cesarzowa grecka, znowu prawił kilka godzin o Waregach i Waryagach, wliczał skrupulatnie, wiele cali w szerz i wzdłuż mają różne dyplomata królewskie, etc. etc. a to wszystko przyprawił takim bigosem cytat z kronik i rękopismów, że podziwiać należy tę olbrzymią pracę, jaką ponieść musiał. Słowem, rzucał pełną garścią plew i obrzynków historycznych, ale historii nie słyszałem. Nie usłyszałem żadnej prawdy, wydobytej z bogatego jej skarbcza, prawdy zastosowanej do naszych czasów i wyobrażeń, bo wszystko to, czego się tylko mową dotknął było suche, subtelne, bez życia, bez serca.

— Ty jesteś młody Juliuszu, odrzekła matka z nieznacznem westchnieniem, dzisiaj żyjesz sercem i fantazją, a wyższa nauka nie bawi ciebie.

— Nie mamó; słyszałem profesorów wyższych nauk, a nikt tak oschłym a niby grubo-uczonym nie jest w swoich wykładach, jak profesor historii. Opowiadali mi jego uczniowie, że jest zaciętym nieprzyjacielem każdej poezyi. Uważa ją za truciznę ducha, za niebezpieczną zabawkę młokosów. Nawet w historii jest tym samym tyranem poezyi. Poetyczne bowiem miejsca historii odziera niemiłosiernie z uroku poezyi, a czego się swoją grubą uczonością dotknie, z tego otrąci niezawodnie ostatni pyłek poezyi. Jak gasienica pełza w owych poetycznych kwiatach historii i, *rektyfikuje fakta*. Królowa Jadwiga, Barbara, dziecica Orleańska, wszystko to traci urok pod nożem jego krytyki, i występuje w postaciach najpospolitszych. Nie,

mamo, to nie jest historia! Tak się nie obchodzi z żywotem narodów. Tak tylko introligator obchodzi się z książką. Wciśnie ją w prasę, obklei i wyzłoci, poobcina końce kartek, a jeżeli na tych odcinkach coś nie przeczyta, to nie wie, co w książce, bo jej nie otworzył!

Matka patrzyła z bijącym sercem na młodego entuzyastę, ale oko jej zasepiło się jakimś smutnym uczuciem. Chciała je przerwać, wstała, i ucałowała w głowę zapalonego mowcę.

W tej chwili otworzyły się drzwi z bocznego pokoju, z pismem w rękę wszedł Kazimierz.

Twarz jego pomarszczyła się i pobladła, na głowie ubył włosy, ale na ustach był jakiś błogi uśmiech zadowolenia. Uśmiech ten mówił, że był szczęśliwym.

— Julio, ozwał się słodkim głosem, znowu jeden ciężar więcej spoczął na moich barkach.

— Wszystko słodkie, mój luby, byle dla dobra kraju.

— Oto zgromadzenie obywatelstwa, chcąc się narodzić nad założeniem nowej instytucji krajowej, wezwało mnie na prezesa.

— Tylko nie bądź dumny z tego, mój Kazimierzu, przemówiła Julia całując go w skronie, bo kraj cię w końcu zepsuje. To nie zaszczyt, aby nim błyszczeć, i się od innych rozróżniać, ale ciężar mój luby i odpowiedzialność za sprawę krajową. Lecz do ulżenia ci tego ciężaru, mam różne talizmany, nieprawdaż?

I ucałowała serdecznie męża.

— Prawda, odparł z uśmiechem Kazimierz, jesteś niewyczerpaną w swoich talizmanach!

— O krótko je może utracę, przerwała z lekką melancholią, a wtedy ten będzie ci talizmanem!

I wskazała na Juliusza.

— Oboje będziecie dla mnie talizmanami, rzekł Kazimierz, całując syna. A teraz, moja Julio, przygotuj się z wieczorem. Sprosiłem dość liczne towarzystwo.

Za kilka godzin oświecono salony, a goście poczęli się zbierać. Był to wybór towarzystwa stolicy, bo każdy kochał i czcił gospodarza. Obok imion starożytnych, widziano i ludzi pracy wyższej, a wszystko to harmoniowało z sobą, było grzeczne i uprzejme. Gospodarz nie ranżował gości swoich według tytułów i imienia, ale zostawił wolność ranżowania się samemu towarzystwu. To też kontent był każdy z miejsca swego, a chociaż ono było najniższe, siedzący na niem był tego przekonania, że je sam sobie obrał, że mu go z góry nieznaczono.

Koło jedynastej godziny weszła do salonu, dama w jaskrawych kolorach.

— Jakże gospodarz ma mało względów dla gości swoich, ozwała się hrabina M..

— Jakto pani sądzi? spytała się jej sąsiadka.

— Osobę tę widziałam w Petersburgu. Nieprzyjmo-

wano jej nigdzie. Zachowanie się jej niema być nader przykladne.

— Słusznie pani mówi, i my jej tutaj nie przyjmujemy. Jest to siostra naszego miłego gospodarza; to zachowanie się jej najmocniej go martwi. Ale ma dobre serce i rad nie rad cierpi ją czasem w swoim domu. Mimo to, że jej kilka razy nawet już dóm swój wymówił, napada go jednak czasem, jak rozbójnik, a trudno ją wtedy wyprosić.

— Czy to prawda, że jej tam ktoś wielki majątek zapisał, i za córkę przyjął?

— Ach, różnie to o tem ludzie mówią.

— Przecież ma męża.

— Znalazł się jakiś hrabia, hulaka, który ją swym tytułem ustroił, ale zaraz od dnia ślubu poszło jedno z nich do lasa a drugie do sasa!

— A gdzie jej mąż?

— Jeździ teraz po Europie z jakąś spiewaczką! Majątek milionowy już na schyłku, tylko miłosierny brat jeszcze ich ratuje.

I prawdą musiało być, co między sobą obie sąsiadki mówiły, bo całe towarzystwo skrzywiło się jakoś na widok pani hrabiny, która wyróżzana i wyblansowana, w sukni o tęczyowych kolorach wtoczyła się na salon, dla gospodarza nader niemiła niespodzianka. Najbliżsi jej rozsunęli się w duże koło, każdy odwracał się, lub szukał chustki w kieszeni, gdy się do niego zbliżyć chciała. Nikt jej nie pozdrowił, nikt nie powstał na jej przywitanie.

Z twarzą brzydką, pomarszczoną, z zielonem okiem bazyliuszka przesunęła się kilka razy po salonie, a nieuzyskawszy nigdzie słowa pozdrowienia, wyniosła się z towarzystwa.

Jestto jej zwyczajem, napadać w późnej godzinie zebrane towarzystwa, pokreć się kilka chwil po salonie, i odejść nie przywitawszy się nawet z gospodynią. Zdaje jej się, że tym sposobem ocala pozór bywania w towarzystwach.

W bocznym pokoju siedzieli kilkanaście mężczyzn radziło nad nową instytucją krajową. Juliusz siedział w dali, i chciwem uchem łowił słowa mówiących. Twarz jego pałała, serce rosło mu w piersi, gdy zasłyszał jakie zdanie podniosłe. Przypomniał sobie suche wykłady profesora historii, a dreszcz zimny przeniknął mu serce.

Juliusz kochał namiętnie naukę, lecz więcej niżeli naukę kochał ludzi, społeczeństwo swoje. Nie kochał nauki dla jej subtelności, ale kochał ją dla jej wielkich prawd społecznych.

OCZEKIWANIE.

(Z Heinego.)

Jak mgły wonne chłodem wieją!
 Jak te gwiazdki tam na górze,
 Niby roje złotych pszczołek
 Skrzącem światłem drżą w lazurze.

Z cienia drzew stojących w rzedzie
 Biały domek z dala błyska;
 Szklanne drzwi skrzyknęły głucho,
 Cichy szmer już słyszę z bliska.

A mnie serce bić zaczyna
 Tak gwałtownie w jednej chwili,
 A tu róże patrzą na mnie,
 Tam samotny słowik kwili.

Romuald K..

N O C.

(Z Heinego.)

Z gwiazdzistego nieba
 Spada jedna skra,
 I przepada marnie
 Jak miłości iza.

Z zielonej jabłoni
 Spada wonny kwiat,
 Wietrzyk wieje z wolna
 Niesie kwiecie w świat.

Mrący łabędź spiewa
 Stawem płynie w dal,
 Jęczy coraz ciszej
 Tonie w głębi fal.

W koło cicho, senno,
 Kwiat już opadł z drzew,
 Zgasła gwiazdka blada,
 Skonał smutny spiew.

Romuald K..

JAK SIĘ U NAS ŻENIĄ.

Obrazek spółczesny.

III.

WE LWOWIE.

(Ciąg dalszy.)

Należycie przygotowany, zbliżył się pan Felix do wskazanej mu przez Szpakowskiego kamienicy, i uważnie zaczął czytać kartkę na bramie przyklepioną, treści następującej:

„Hier im ersten Stok sind zwei Zimmer samt Vorzimmer, für ledige Herren, mit ordentlichen Geräthschaften allsogleich zu vermieten.

»Fty kamienicy napierszym pientrzy iest dwa pokoje y przetpokuj dla panuf kawaleruf, spożondnemi narzendziami ften momynt donaiencia.«

Wyczytawszy poważnie i bez śmiechu to arcydzieło stylu, sensu i ortografii, wszedł wymierzonym krokiem do sklepu. Przywoicie bez dumy i poufałości, ale zawsze nieco z pańska zapytał:

— Czy tu jest stancja do najęcia?

Odpowiedział mu na to za ladą siedzący jegomość w którym serce pana Feliksa poznało od razu przyszłego teścia. Do obrazu Neubeckera moralnego, skreślonego przez Szpakowskiego, dodam tylko że na twarzy jego okrągłej zarumienionej, a nawet troche pokameryzowanej, i w oczach małych piwnych, łączył się wyraz naturalnego ograniczenia z wyrazem nabranej przez wiek i handel przezorności, co karykaturowało całą tę twarz. Dodajmy do tego, że na głowie dobrze już siwej łysawej spoczywała czapeczka zielona z kutasem, którą uchylił nieco przed gościem.

— *Ja mein Herr*, jest u mnie stancja na pierwsze piętro.

Co rzekłszy powstał i okazawszy wcale potężny i okazały brzusek, zbliżył się do szklanych drzwi, do wnętrznego pomieszkania wiodących i zachrypionym zawołał głosem:

— *Tochter, man fragt nach dem Quatier, lass es dem Herrn zeigen.*

Na to odezwał się znowu gdzieś z trzeciego pokoju głosik kobiecy, cieniutki i dość nawet miły.

— Nani! Nani!

I po chwili przybiegła do sklepu szlafroczkowa i fartuszkowa subretka, z prawdziwie subretkowym noskiem zadartym, oczkami sinemi, ciekawie w koło biegającymi i uśmiechem zalotnym, wyzywającym. Prawdziwy typ lwowski *kucharko-pokojówek*. Wbiegła z kluczem w rękę i na rozkaz pana Neubeckera poszła pokazać panu Feliksowi próżne na pierwszym piętrze pomieszkanie.

Pan Felix idąc po schodach uśmiechnął się do Nanci i przemówił z całą uprzejmością:

— Bardzo dobre schody...

Subretka na to pierwsze tylko słowo czekała, jakoż ośmielona powierzchnością pana Feliksa, który jej się podobał, zaczęła z wielką subretkom całego świata właściwą biegłością języka wychwalać i schody i czystość całej kamienicy, i nawet wszystkich lokatorów, krytykę zostawiła sobie oczywiście na później, gdy się już nowy lokator sprawdzi.

— Piękne wcale pokoje, i właśnie takie, jakich szukałem, w domu cichym porządnym.

— Pan będzie bardzo kontentny, a poznawszy od razu, po niedźwiedziach i konfederatce granatowej, w panu Feliksie dopiero co ze wsi przybyłego, dodała:

— Pan zapewne ze wsi?

— A poczem żeś mnie moje serce tak prędko poznała?

— O ja panów ze wsi od razu poznaję, zalotnie odpowiedziała i dalej ciągnęła inkwizycją:

— A pan długo we Lwowie zabawi?

— Zapewne przez całą zimę, trudno bowiem samemu przesiedzieć zimę na wsi, nagospodarowawszy się przez lato..

Jeszcze wdzięczniej uśmiechnęła się pokojówka, zrozumiawszy ze słów pana Feliksa, że ma wieś i jest kawalerem.

Pan Feliks uśmiechnął się jeszcze uprzejmiej i pogłaskawszy gładką jej twarzyczkę, z całą przyzwoitością zapytał się:

— Ty się nazywasz Nancia moje dziecko?

— A jakże pan wie moje imię? zapytała go nawzajem rozradowana i zarumieniona dziewczyna.

— Słyszałem jakiś bardzo ładny głosik, który wołał »Nani.«

— A to moja panna, córka naszego pana, bardzo sładna i dobra panienska.

— To gospodarz ma córkę?! Wierzę że musi być ładna sądząc po głosie, bo jak żyję nie słyszałem tak przyjemnego i miłego głosu.

— Oho! czy tak prędko, powiem ja to mojej panunci.

— Fe, Nanciu nie wydawaj mnie ze sekretu.

— A żebyś pan jeszcze słyszał jak ona śpiewa, i jak gra na fortepianie *aż strach*.

— Na fortepianie? proszę, to mnie mocno cieszy, bo ja passjami lubię muzykę. Dziękuję ci moja Nanciu za pokazanie mi. Jeżeli się zgodzę z twoim panem, mój służący dziś jeszcze poznosi tu moje rzeczy.

Co rzekłszy, pogłaskał raz jeszcze gładką twarz Nancina, co się jej wcale podobało, i nareszcie zdobył jej całkowitą łaskę, wsuwając jej w rękę, przy odchođnem, trzy cwancygiery. Oczywiście uzyskał najzupełniej jej przyjaźń bo i wieś ma, i kawaler grzeczny, i szczodry i ma nawet służącego.

Łatwo więc pojąć z jakim wzraskiem wpadła Nancia do swojej panny, i z jaką gadatliwością zaczęła jej wychwalać nowego lokatora, bo ani wątpiła, że się zgodzi z panem i dziś jeszcze znieśie. Panna Berta dosyć poufała ze swoją służącą, jak się to często trafia nietylko w niższych, ale i w wyższych stanach, słuchała z uwagą i nawet niby od niechcenia, wypytywała się jej, jak wygląda ten nowy lokator.

— Ale proszę panunci, i młody i ładny, bardzo przy-

stojny, a jaki grzeczny, zaraz widać że panicz, nie tak jak te nasze miejskie kupczyki niezgrabne. Kawaler, ma wieś swoją, a może i więcej wsi, bo wygląda na pańskie dziecko, i ma proszę panny, służącego nawet. Dalibóg dodała z uśmiechem figlarnym, z tego może co jeszcze być, chwalił panienci głos.

— Chwalił — przerwała Berta z rumieńcem.

— Ale jak chwalił! i mówił że pewny jest, iż taki głos tylko do ładnej panny należeć może. Dalibóg że z tego coś może być, zobaczy pannuncia.

— Cóż może z tego być! nie powtórzyła Berta, ale pomyślała sobie w duszy i zamarzyła. A marzenia jej były bardzo powabne, bo widziała się siedzącą już w pięknym eleganckim powozie o dwóch bogato usztorowanych i anglezowych koniach.

Przez ten czas pan Felix godził się ze starym Neubeckerem o stancję. Jak łatwo pojąć, zgoda przysła do skutku po krótkim targu, który pan Felix przeprowadził z wielkim artystostwem do pewnego tylko stopnia. O tyle się targował, o ile potrzeba było, aby z jednej strony dać Neubeckerowi dobre wyobrażenie o zamiłowaniu swoim w oszczędności, a z drugiej strony okazać się człowiekiem zamożnym; mogącym dogadzać swoim zachceniom. To też pan Chromacki już na wstępie mocno się podobał poczciwemu exfeldfeblowi, a tem więcej gdy mu w końcu powiedział, z dobrze udaną mieszaniną szlacheckiej pańskości i popularnej grzeczności:

Przystaję więc na cenę pańską, bo mi się i dom i urządzenie jego podoba. Właśnie szukałem domu porządnego i cichego, bo nie lubię wrzasku i nieładu. Przyzwyczajony jestem na wsi do porządku, który przy znaczniejszym majątku właśnie jest najpotrzebniejszy, a którego brak tyle już szlachty zgubił. Żegnam pana dodał płacąc za pomieszkanie zgóry, spodziewam się, że się bliżej poznamy, bo ja tu muszę parę miesięcy zabawić z powodu ważnych interesów, które wolę sam przypilnować, niżeli je adwokatowi powierzać.

Aż do drzwi sklepowych odprowadził go Neubecker z czapeczką podniesioną na cal od głowy. Początek planu udał się tedy jak najlepiej, bohater bowiem nasz zrobił najlepsze wrażenie całą swoją powierzchownością i obejściem się. Sława nowego lokatora, bogatego kawalera, i przystojnego, rozniosła się wnet po całej kamienicy, dzięki szczebiotliwej Nanci, która jako prawdziwa subretka nie tylko lubiła wiele rozpowiadać, ale umiała prócz tego i należycie umistyfikować.

Również dobre zrobiła wrażenie okazanie się Marcellego, który w parę godzin później przyszedł z efektami swego pana. Marcelli był jeszcze młody i przystojny, a osobliwie bardzo przebiegły, należycie wyuczony we wszelkich przemysłach lokajskich.

Przy pierwszym zaraz wstępie do nowego pana swego zrozumiał Marcelli swoje względem niego położenie, i stosownie do niego w pierwszej z panem Felixem rozmowie, napomknął mu, o przyrzeczonych mu stu ryńskich, zapewniając mu zwycięstwo.

— Nie takie to, Wielmożny Pani, przebyło się rzeczy, przemówił do niego. Damy sobie łatwo rady. Kiedy służyłem u hrabiego Jerzego, który narobiwszy mnóstwo długów we Lwowie, wyemigrował do Rosyi, i tam się bogato ożenił, nie takich my to kupców, i żydów, i niemców, i ormianów nawet wyprowadzili w pole. Cała panie dobrodziejku sztuka w gębie, trzeba z nimi umieć gadać, i trafiać w ich słabości.

(C. d. n.)

Rozmaitość.

Z Krakowa. Kursa szkolne które w tym roku z powodu cholery, ukończono wcześniej niż zwykle, zakończyły się tak jak co-rocennie popisem szkoły muzycznej i malarskiej. Jeden jednak i drugi wcale nie odpowiedział oczekiwaniom, przynajmniej pozostał daleko po za poprzednimi latami. W popisie wokalnie-instrumentalnym, oprócz samych początkujących głosów, o których dzisiaj nie da się wiele powiedzieć, słyszeliśmy po pierwszy raz świeżutki, okrągły i melodyjny śpiew panny *Hon. W.* którego dźwięczność, rozległość i siła, obiecują wiele na przyszłość. Szkoda że o popisie szkoły nie zawiadomiono nigdzie publiczności, dla tego ledwie kilkadziesiąt osób miało sposobność słyszenia nowego talentu muzycznego. Słyszeliśmy że wiele zasłużony miastu naszemu prof. Franc. Mirecki, zamysłała za kilka miesięcy urządzić popis szkoły swej muzycznej, a to w sposób w jaki urządził takowy przed niedawnymi laty.

Popis szkoły malarskiej wypadł najniepomysłniej. Parę namalowanych głów popiersiowych, parę olejnych kompozycji niedokończonych, parę pejzażów, wszystko razem dwadzieścia i kilka sztuk drobnych, między którem nic nie zwracającego uwagi, oto owoce całorocznego zatrudnienia uczeni. Zniknęli tego roku zdaniejsi uczni jak n. p. *A. Grabowski*, o których w zeszłym roku mówiono pochwalnie. Ażaliż tym uczniom zdaje się że już nie mają się czego w szkole uczyć, że przy swojej początkowej zdadności, potrafią sami zająć daleko?..... W tym razie nie wybieżą oni ponad granicę mierności. W popisie tegorocznym nie widzieliśmy studjów z modelu, czyliż takowego szkoła nie utrzymywała?

W szkole *Stallera Kornela* znaleźliśmy same prawie roboty jego synów, nie będące owocem szkoły, bo robione w domu pod jego okiem. Z trzech braci *Stas* trzynastoletni najwięcej zrobił, najwięcej rozwinął prawdziwego talentu. W obrazach jego jest myśl i życie, i koloryt. Starszy brat jego *Adam* wystawił tylko jeden obraz. Dziesięcioletni *Julck* wiele namalował, a wszystko z pewną śmiałością i wprawą, rokującą o nim wiele na przyszłość. Podobał nam się portret *Stallera* ojca, zrobiony w naturalnej wielkości przez syna jego *Stasia*. Z innych prac olejnych, odznaczyli się: *Gadomski Walerj*, *Matejko Jan* i *Sinnmajer Karol*, choć ich prace są drobne i nazbyt szczupłe ze względu na okres całorocznego. *Matejko* zadał sobie pracy w odmalowaniu portretu młodej kobiety naturalnej wielkości. *Sinnmajer* zrobił tylko jeden portret według zwyczaju swojego, i to jak co-rocennie czyni, portret swój własny. Czyliż uczniowi, tak dalece brakuje pomysłu i przedmiotu, iż musi siebie samemu kopjować? Można by przecie popracować nad jakimkolwiek

więcej zajmującym studjum. W szkole pejzażów *A. Płonczyńskiego*, prócz kilku widoków pejza *Gryglenskigo* wcale ładnych, nie widzieliśmy nic więcej zwracającego pobłażliwą uwagę. W szkole rysunkowej *Wład. Juszczykiewicza*, początkujący rysownicy *Szubert Arif* i *Sagnowski Karol* nieco się wyszczególnili. Wreszcie w rzeźbiarskiej szkole *Kosowskiego* widzieliśmy popiersia wyrobione przez *Wyspiarskiego* i *Filippięgo*.

Mimo wyróżnienia się niejakiego, tych kilku prac uczniów szkoły malarskiej, ogół wystawy niezadowolonił nas najzupełniej. Jeżeli by na dalsze lata następne w takim stosunku jałowaciła szkoła i gdyby w takim stosunku coraz mniej znać było, iż rok cały miano do pracy, moglibyśmy snadno wywróżyć upadek szkole, nie wiedząc czy takowego przyczyną brak dozoru, pilności i zamiłowania, czy też rzeczywisty brak talentów.

W dniu 23. lipca 1854 r. umarł w Wieliczce pod Krakowem tamtejszy fizyk salinarny, *Felix Boczkowski* na cholere. Powszechny szacunek i miłość jakie go otaczały, sprowadziły tłumy przyjaciół i znajomych, towarzyszących pogrzebowi jego. Znany te pracy jego: *O cholere* rozprawa. *O Wieliczce* pod względem historii naturalnej, dziejów i kąpeli. Rochnia 1843 w Sec. str. 174 i 1 ryc. druk Pischka. Dziełko to rozebrane szczegółowo i zganiono w Rocznikach krytyki literackiej *Lewestamma NN*. 63. 65. Warsz. 1852. na co odpisał tamże broniąc się autor w N. 71.

Poprzednio zaś *Boczkowski* pisał w *Gazecie Lwowskiej* Maj 1835 *krótka wiadomość o kąpielach słonych w Wieliczce*. Przewidzowano ją w *Gazecie Krakowskiej* 1836. Wydał toż samo osobno w Sec p. t. *O kąpielach sławnych w Wieliczce*. Wyjątek z rozprawy lekarskiej. Nakoniec w *Medic. Jahrb. des k. k. Oester. Staat* 1838 XV. str. 360. zamieścił rozprawę: *Ueber die Salzsoole und die Soolenbänder zu Wieliczka*.

Z Truskawca. (Dok.) W przeciągu ostatnich czterech tygodni dano cztery bale, z których jeden przeznaczony był wyłącznie na dochód kąpiących się tu ubogich, jeden zaś na rzecz usłużnego zawiadowcy pomieszczeń p. *Zabierzewskiego* i w szóstej części dochodu czystego według woli beneficjanta na korzyść ubogich. Najpiękniejszy był jednak bal tak zwany kawalerski, dany d. 31. lipca za staraniem i kosztem hawających tu męczyzn z obywatelstwa. Do uświetnienia tej zabawy przyczynił się najwięcej śpiew słynnej i znakomitej artystki pani *Ludwika Rywackiej*, pierwszej śpiewaczki c. k. teatru Warszawskiego, której talent i sztukę Lwów kilkakrotnie miał sposobność podziwiać. Pani *Ludwika Rywacka* przybyła tu d. 28. lipca, a dowiedziawszy się, że nazajutrz d. 29. ma być bal na dochód zawiadowcy i w części dla ubogich, wiedzioma szlachetnem uczuciem ludzkości oświadczyła się z gotowością odspiewania kilku arji wśród tego balu w chęci pomnożenia dochodu na rzecz ubogich. Ale bal minął bez zapowiedzianego i z upragnieniem oczekiwanego śpiewu p. *Rywackiej*, która na nim była obecna i do dziś dnia nie wiemy, co się stało przyczyną tego zawodu, a nie mogę wierzyć, ażeby wiadome mi zabiegi koteryjne mienarów towarzystwa kąpielowego, o których w następnym liście doniesie wam nieomieszkać, mogły być zachwieć jennialną i szlachetną artystkę w raz powziętym zamiarze.


Dopiero nazajutrz po tym balu t. j. d. 31 lipca wieczór odbył się afiszem zapowiedziany koncert pani *Rywackiej* na jej własny dochód. Była to dla nas miła bardzo i tem miłsza niespodzianka, że właśnie zaczęły się już były owe dni niepokodne, które wszędzie, a najwięcej w kąpielach rozstrajają umysł i nerwy. Odspiewała najprzód arję z opery *«Ernani»* pana *Verdi*, następnie *«Le Soupir»* p. *Jana Quatriui*, potem *«die schönen Augen»* *Stołykina* i zachwycała wszystkich niezrównanym wdziękiem, ogromną siłą, a przytem giętkością i słodyczą głosu. Największy efekt zrobili arje, *«Posyłka»* i *«Czarne oczy»* i zjednały jennialnej artystce powszechne podziwienie

(141. 2 — 3)

Nowości literackie

W KSIĘGARNI KAROLA WILDA WE LWOWIE,

w rynku na rogu ulicy dominikańskiej.

 Dzieła oznaczone * można także *pożyczać do czytania* w wypożyczalni do tejże księgarni należącej. Abonament miesięczny kosztuje 1 złr. Na wieś po 10 tomów na raz 3 złr.

* **Alzog Jan. Historia powszechna kościoła. Z piątego wydania**
przetłomaczona przez X. J. W. Seb. Pijara. Tłumaczenie przejrane, poprawione i uzupełnione przez X. St. Krasińskiego, kanonika Wileńskiego. Tom I. z przedpłatą na 4 tomy, w Scc. Petersburg 1855. 9 Złr.

* **Dziejopisowie krajowi. 4 tomy w Scc z przedpłatą na 6 tomów**
18 Złr. Tom I. i II. zawiera: J. Rudawskiego Historią Polski od śmierci Władysława IV. aż do pokoju Oliwskiego, czyli dzieje panowania Jana Kazimierza o 1648 do 1660 r. Tom III. zawiera: Jak. Sobieskiego Pamiętnik wojny Chocimskiej, i J. Dym. Solikowskiego Pamiętniki rzeczy polskich. Tom IV. zawiera Jędrzeja Maks. Fredry. Dzieje narodu Polskiego. — Leon. Goreckiego Opisanie wojny Iwona. — Jana Łasickiego O wtargnieniu Polaków na Wołoszczyznę.

* **Kaczkowski Z. Wnuczęta. Powieść współczesna. 4 tomy**
w Scc Petersburg 1855. 10 złr.

* **Kaczkowski Z. Gniazdo Nieczujów. Pierwsza wyprawa pana**
Marcina. Kasztelanice Lubaczewscy. Powieści (Ostatniego z Nieczujów tom 6ty) w Scc Petersburg 3 złr.

* **Korzeniowski J. Scena na balu. Pojedynek. (Powieści i opo-**
wiadania. Serya II.) w Scc Wilno 1855. 2 złr. 24 kr.

Pol Wincenty. Sejmik generał województwa ruskiego odpra-
wiony 1766 r. w Sądowej isni. Sejmikowa tradycya JMć. pana B. Winnickiego. w Scc ozdobnie oprawna. Petersburg 1855
3 złr. 18 kr.

* **Skarbczyk poezyi polskiej. Zawiera: poezye Bielowskiego,**
Brodzińskiego, Gaszyńskiego, Hołowińskiego, Lenartowicza, Magnuszewskiego, Morawskiego, Odyńca, Pola, Siemińskiego, Słowackiego, Ujejskiego, Wasilewskiego, Witwickiego, Zaleskiego i innych w wyborze. 6 tomów z przedpłatą na 4 tomy w 12cc
12 złr.

* **Syrokomla, W., Baka odrodzony. Uwagi o śmierci niechybnej**
przez X. Bakę, z przedmowami R. Korsaka i L. Borowskiego, na nowo z jedną przedmową i znalezionymi skryptami po X. Bacc
wydane. w Scc Wilno 1855. 2 złr. 24 kr.

Syrokomla W. Margier. Poemat z dziejów Litwy w Scc Wilno
1855, 4 złr. 30 kr.

* **Tripplin Dr. T. Pamiętniki lekarza Polaka, z wypadków za**
granicą doznanych 6 tomów w Scc Warszawa 1855 15 złr.

Życiorysy znakomitych ludzi, wsławionych w różnych zawodach.
Z wizerunkami. 2 tomy w Scc Warszawa 24 złr.

Nakładem **H. W. Kassenbacha** we Lwowie

wyszły:

4 Mazures

pour le

PIANO

par

ADAM BERSKI.

op. 8.

Prix 30 kr. m. d. c.

Reminiscences à la patrie.

QUATRE MAZURES

pour le

PIANO

par

ADAM BERSKI.

Oeuvre 10.

Prix 45 kr. m. d. c.

QUADRILLES

sur les motifs de l'opera de G. Meyerbeer

l'étoile du nord

pour le Piano

par

J. Ladislas de Madziowicz.

Prix 30 kr. m. d. c.

ELEONORE.

POLKA

pour

PIANO

composée par

CONSTANTIN PLIETHOS.

Prix 24 kr. m. d. c.

Les étoiles.

TROIS VALSES

pour le

Piano

par

Marcel Madejski.

Prix 30 kr. m. d. c.

NAD KOLEBKĄ

Piosnka

z towarzyszeniem fortepianu,

wiersz

Karola Schajnochy,

muzyka

Marcelego Madejskiego.

Cena 45 kr. m. k.

POSYŁKA.

Pieśń

na Mezzo-Soprano,

wiersz

M. B. Antoniewicza

muzyka

MARCELLEGO MADEJSKIEGO.

Cena 45 kr. m. k.

QUADRILLES

sur des airs favoris

de l'opera

INDRA DE FLOTOW,

pour le Piano

par

Jean Ruckgaber.

Prix 30 kr. m. d. c.

Nowości literackie i artystyczne

w księgarni **H. W. Kallenbacha** we Lwowie.

Baka odrodzony. Uwagi o śmierci niechybnej przez X. Bakę z przedmowami: R. Korsaka i L. Borowskiego na nowo z przedmową i znalezionemi skryptami po X. Bace wydane przez Wład. Syrokomlę. Wilno 1855. 2 złr. 24 kr.

Bremer Fryd. Nina. Powieść przełożona na język polski z Szwedkiego. 2 Tomy. Warszawa 1855. 3 złr. — kr.

Jachowicz Stanisł. Spiewy dla dzieci (Z melodyjami: J. Dobrzyńskiego, Księcia K. Lubomirskiego, St. Moniuszki i J. Nowakowskiego) Warszawa 1854. 2 złr. — kr.

Jachowicz Stanisł. Rady wuja dla Siostrzenic. (Upominek dla młodych panien). Warszawa 1855. 12 kr.

Kalendarz polski, ruski, astronomiezno gospodarski i domowy na rok Pański 1856. Wydanie Józefa Czecha w Krakowie. 21. kr.

Malczewski Ant. Maria. Powieść ukraińska. Poznań 1855. 20. kr.

Mann, Maur. Podróż na Wschód. 3 tomy. Kraków 1855 9 zlr. kr —

Powieści trzy opracowane przez F. M. Wilno 1855. 1 złr. kr. 30.

Przewodnik nowy w rozmowach nowoczesnych w języku francuskim i polskim przez Bellengera i C. Forstera. Berlin 1855. 1 złr — kr.

» w języku niemieckim i polskim przez Fischera i C. Forstera 1 złr. — kr.

Przewodnik w języku polskim i ruskim przez C. Forstera i A. Boltza 1 zlr. — kr.

» w języku polskim, francuskim, niemieckim i angielskim przez Forstera, Bellengera, Fischera i Witcomba 1 złr. 40 kr.

« w języku francuskim, niemieckim i polskim przez Bellengera, Fischera i C. Forstera 1 złr. 20 kr.

« w języku polskim, ruskim, niemieckim i francuskim, przez Forstera, Boltza, Fischera i Bellengera 1 złr. 40 kr.

» w języku francuskim i niemieckim przez Bellengera i Fischera 1 złr. — kr.

« w języku ruskim i niemieckim przez Boltza i Fischera 1 złr. — kr.

» w języku angielskim i niemieckim przez Witcomba i Fischera 1 złr. — kr.

« w języku francuskim, angielskim, niemieckim, ruskim, polskim i szwedzkim 2 złr. — kr.

Sikorski Jan. Przewodnik do hodowli pszczół. Wilno 1854 36 kr.

Syrokomla Wład. Margier. Poemat z dziejów Litwy. Wilno 1855. 4 złr. 30. kr.

Wodziński kś. Ernest. Kazania świątalne. 2 tomy Biała 1855 2 złr. 30 kr.

WIZERUNKI POLSKIE,

rysował z natury i litografował

Maxymilian Fajans.

Poczet Smy zawiera wizerunek Ant. Wagi.

J. GOŁUCHOWSKIEGO i A. CIESZKOWSKIEGO.

Cena: 2 złr. 30. kr.

O B R A Z

cudowny Matki Boskiej Częstochowskiej.

Odbicie z wzorów sztuki średniowiecznej w dawnej Polsce, Chromolitografia M. Fajansa w Warszawie. 2 zlr. 24. kr.

Ojciec nasz.

Chromolitografia

M. Fajansa.

Złr. 1 kr. 30.

PORTRET DEOTYMY.

Malowała z natury Maria Lubieńska, litografował

M. FAJANS.

2 złr 24. kr.

KRAM MAŁOWNICZY

Warszawski,

czyli obrazy miejscowe z ubiegłych czasów przez

Jana Felixa Piwarskiego.

Odciskano z cynku w zakładzie litograficznym Banku polskiego w Warszawie. Oddział pierwszy Część 1. 2. przedpłata za 4 Części po 6ciu duż. tablic in Folio 24 zlr. — kr.

BIUSTY.

Nowo wykonane z masy stearynowej

Joach. Lelewela i Poniatowskiego.

po 1 złr. 38 kr.

W księgarni **H. W. Kallenbacha we Lwowie** dostać można:

O TRAWACH

i ogółowem z niemi postępowaniu

na zasadach z praktycznych doświadczeń
zebrane przez

H. ze Stawna Sławińskiego.

KARMA DLA BYDŁA

jej względna wartość i

czem można kartofle zastąpić,
przez

Hipolita Nędzowskiego.

Wadowice 1855. Cena tych dwóch dzieł 1 zfr. 48 kr. m. k.

NOWY LEKARZ

czyli

SPOSOBY LECZENIA BYDŁA,

koni, owiec i innych domowych zwierząt, tudzież onych
karmieniu i rozmnażaniu, przez

J. Mik. Rohlwes.

Siódme wydanie zupełnie przerobione i nowemi doświadczeniami
pomnożone.

Warszawa, 1853. Cena 2 zfr. 24 kr. m. k.

DWIE GAWĘDY

WŁADYSŁAWA SYROKOMLI.

SPOWIEDŹ PANA KORSAKA.

Pan Marek w piekle.

Wilno 1854.

Cena: 1 Zfr. 12 kr. m. k.

MARGIER.

Poemat z dziejów Litwy

przez

Władysława Syrokomlę.

Wilno, 1855. — Cena 4 Zfr. 30 kr. m. k.

Szkółka dla młodzieży

Pismo sześciotygodniowe

wraz z

dotądkiem literackim.

Rok piąty, 1854, 8 zeszytów.

8vo Poznan. Cena 4 zfr.

WIENIEC CIERNIOWY.

Powieść

Józefa Dzierzkowskiego.

2 tomy 8vo Lwów 1855. Cena: 3 zfr. 45 kr.

Krótka

WIADOMOŚĆ

Z DZIEJÓW

PIŚMIENNICTWA

POLSKIEGO.

zebrał

M. Ł.

Warszawa 1855.

Cena 3 zfr. m. k.

Handwörterbuch der deutschen Sprache,

nebst

den gebräuchlichsten Fremdwörtern, Angabe der Betonung und Aus-
sprache, und einem Verzeichniss der unregelmässigen Zeitwörter
von

F. A. Weber.

Sechste, stereotypirte Auflage.

8vo Leipzig 1854. 12 Lieferungen, vollständig.

Preis: 4 fl. C. M.

W księgarni **H. W. Kallenbacha we Lwowie** są do nabycia:

Baxtera obrazy angielskie drukiem olejnym.

Zdjęcie z krzyża Pana Jezusa podług Rubensa, oprawione w ram-
kach 2 zfr. 24 kr.

Chrystus Pan błogosławiąc chleb i wino, oprawione w ramkach
3 zfr. 40 kr.

Familia święta podług Rafaela, oprawiona w ramkach 2 zfr. 20 kr.

Pan Jezus na krzyżu, oprawione w ramkach 4 zfr. 20 kr.